

"My brothers in arms" — Mirosław Sliwa

Od autora: Tekst o wojsku, ale zdecydowanie dla dorosłych. Jako tytułu użyłem słów wielkiego przeboju znakomitej brytyjskiej grupy rockowej Dire Straits. Mam nadzieję, że mi to wybaczą. :)

"My brothers in arms"

Wielkanoc. 22 kwietnia 1984 roku. Składy amunicji w poniemieckich fortach w okolicach Nysy. Służba wartownicza.

Jestem styrany; padam na pysk.

Pięćdziesiąta czwarta doba kołomyi w cyklu: dwadzieścia cztery godziny na warcie, dwadzieścia cztery w jednostce, a stare wojsko nie pozwala nam, kociambrom, odespać choćby tego, co się regulaminowo należy. Lenistwo zdecydowanie młodzieży nie służy. Oj, nie służy. Kadra oficerska podziela tę opinię w całej rozciągłości. Ot, element dyscypliny.

Monotonne kołysanie wojskowego Stara, wiozącego nas z jednostki do fortu usypia do tego stopnia, że lewym okiem opadającej bezwładnie głowy, prawie nadziewam się na lufę ustawionego na sztorc, między kolanami, „kałacha”. Wracam do pionu i zobojętniałym wzrokiem obrzucam towarzyszy niedoli. Ci młodzi żołnierze wyglądają jak pokurcze.

Tak, jesteśmy bękartami, niechrzczonymi w ogniu żadnej z bohaterskich bitew. Zresztą nikt z nas nie ma ochoty umierać; bo niby za co? Za kogo? Kurwa, za ten gnój, syf i pogwałcenie? My, jesteśmy młodzi!!! Kurwa!!! My chcemy żyć!!! Chce nam się żyć dla naszych róż i bławatków, dla tych naszych wyśnionych dam... Jasne?!!! Kurwa, jasne, że niejasne.

No to śpijcie, chłopcy, śpijcie!!!

Panuje wszechobejmująca maligna.

Wstrząs na kolejnym wertepie i chyba znowu coś niezdrowego roi się w mojej mózgowicy...Ech... Spokój! Spokojnie.

Słysząc tylko warkot silnika i chrzęst amortyzatorów pojazdu tłukącego się po wybojach leśnego duktu.

W którymś momencie jednak wyczerpanie, apatia i chorobliwy rozgardiasz myśli spływają ze mnie gdzieś w niebyt, a zamiast nich pojawia się niesamowite poczucie siły i euforia.

Bardzo to nienaturalne, ale nawet nie próbuję racjonalizować tej przemiany. Cieszę się, że żyję. Cholera, jakże się cieszę!!!

Kilka minut po północy. Właśnie wróciłem z posterunku. Teraz dwie godziny odpoczynku, a potem dwie czuwania na wartowni, ale ja wszystko to mam w nosie. Kumple z mojej zmiany walą się na wyra w

sąsiednim pokoju, a ci z czuwającej wtapiają się w anturaż i symulując baczenie, drzemią, jak który po-
trafi.

Siadam przy jedynym radioodbiorniku, do jakiego mam dostęp w tej zakichanej armii i przestrajam go na
program III Polskiego Radia. Ciepły, głęboki tembr głosu Piotra Kaczkowskiego niezmiennie obiecujący
muzyczną ucztę sprawia, że zapominam o wojsku, fali, głupich trepach, a nawet o tym, że trzy tygodnie
temu rzuciła mnie Marzena.

- „Szanowni Państwo, mam wielką przyjemność zaprezentować Państwu najnowszy, koncertowy album
zespołu Dire Straits, noszący tytuł „Alchemy””.

Słyszę aplauz wielotysięcznego tłumu, a w introdukcji delikatne brzmienie klawiszy i cichy, marszowy
rytm werbla. Już mnie nie ma na wartowni gdzieś tam pod Nysą, w państwie zwanym PRL - em. Jestem
w londyńskiej Hammersmith Odeon i wariuję, bo na scenie pojawia się Mark Knopfler i zespół zaczyna
grać „Once upon a time in the west”.

Ogarnia mnie uniesienie wolności prawie fizyczne. Tak, pozwalam sobie na to, ja, młody człowiek
wzięty w kamasze wbrew własnej woli, bo wiem w jakim kraju żyję i że swobodą mogę się cieszyć tylko
w wyobraźni, ale wiem również i to, że tych rojeń nie jest w stanie pozbawić mnie nikt.

Wybrzmiewają ostatnie dźwięki przejmującego „Private investigations”, kiedy nagle z pomieszczenia sy-
pialnego dobiega ogłuszający rumor. Zrywam się sprzed radia i zaglądam do sąsiedniego pokoju. W mro-
ku widzę gramolącego się z podłogi Adama.

- Misiu, co ty odpierdalasz? – syczę wkurzony raptownym wyrwaniem z błogostanu.

- Ach, kurwa, muszę do kibla i wyjechałem się na taborecie.

- No dobra, tylko cicho. Nie pobudź chłopaków – nakazuję półgłosem.

Uśmiecham się, bo niektórzy koledzy chrapią tak, że aż sufit się trzęsie. Sen na raty... Hm. Zajądą nas
kiedyś. Żacham się jednak na smutki... teraz chce mi się żyć tym, co mam. Wracam do muzykodajni.
Czuję się jasny w środku, a przestrzeń rozbrzmiewa znanymi mi już doskonale „Sułtanami swingu”,
choć to koncertowe wykonanie ma swoje kopyto. Nie ma co.

Odprowadzam spojrzeniem ginącego powoli w mroku wąskiego korytarza Misia. Kolebie się z nogi na
nogę jak przygarbiony klocek, tam klocek zresztą; kloc, prawdziwy kloc. Metr sześćdziesiąt osiem wzro-
stu i metr szerokości w barach. Widziałem, co zrobił kilka dni temu z takim jednym „dziadkiem” z ósmej
kompani, który uparł się aby koniecznie Misia przeczolgać. Fruwał biedaczyna w powietrzu jak szmacia-
na lalka. W pięciu pacyfikowaliśmy Adama, bo zabiłby przecież nieszczęśnika, któremu zostało zaledwie
dwa tygodnie do cywila.

Nie wiem czy Ludowe Wojsko Polskie, będące bardziej formą przymusowego odosobnienia niż armią,
kształtuje, jak to mówią, męskie charaktery czy raczej uwypukla najpaskudniejsze cechy w człowieku.
Może wszystko zależy od tego, co się rozumie przez męskość... Od czasu do czasu muszę podobnymi re-
fleksjami pocieszyć i podratować swój idealizm wolnościowca, który nigdy nie żył w wolnym kraju. Naj-
widoczniej wolność jest w nas. Tak, przede wszystkim w nas.

A Misiu, który właśnie wraca do izby zmiany odpoczywającej, od dwóch dni jest uosobieniem rozpaczy,
która nie umie płakać. Dziewczyna. Dziewczyna go opuściła. Dwa dni temu dostał list od matki, gdzieś

ze wsi pod Suwałkami, a w środku taki kwiatusek wielkanocny, że „jego Adamowa Hanka nie jest już jego i ma nowego narzeczonego”.

Szlag może trafiać człowieka na różne sposoby. Podobno niektórzy pod wpływem stresu czy wzruszenia siwieją w jednym momencie. Misiu nie posiwiiał, Misiu zszarzał. Zgasł. I chociaż gabarytowo nic mu nie ubyło, to jakoś skurczył się w sobie, a jego krok stał się jeszcze bardziej niedźwiedziowaty niż był do tej pory. Zawsze mało gadał, a teraz odzywa się już tylko wtedy, kiedy musi.

Ech, kobiety. Przecież osnową tak wielu melodramatów i romansów są historie o tym, że mężczyzna o złamanym sercu idzie na wojnę. Normalnie zapłakać się można. Panny i panie płaczą. My się wzruszamy. Ale oto dzisiejsza romantyczka nieco się zmodernizowała i kiedy tylko chłopaka biorą do wojska, to, ot tak, po prostu rozrzewniona dziewczyna, natychmiast znajduje sobie na jego miejsce pocieszyciela; byleby był pod ręką. Ha, ha; pod ręką... *Signum temporis* i „la donna e mobile”; mieszanka gorsza od bomby atomowej.

Bezwiednie rozglądam się wokół. Jasno szare ściany przecięte wpół brudno-błękitną lamperią, dziwna euforia, której doznałem na pacy Stara, i która trwa i trwa razem ze świeżością muzyki Dire Straits, a teraz wspomnienie tych niewiernych, które jeszcze tuż, tuż, przed wyjazdem tych wszystkich chłopaków do jednostek wojskowych w jakieś odległe rejony kraju, na tych wszystkich przystankach autobusowych i dworcach kolejowych, zalewając się łzami, przyrzekały im wierność do grobowej deski, a nie wytrwały w niej nawet pół roku; ... jakież to popierdalone.

Idealizmy, romantyzmy i sru... realizm, z którym nijak pogodzić się nie można. Po co to wszystko... tak?

Gapię się przez okno na granatowe niebo skrzące się złogami Drogi Mlecznej. Kurwa, jak pięknie. Gdzieś spoza pleców słyszę zaspany głos „rozpylacza” – „Nooo, chłooopaki, zbierać się”. To chłopaki się zbierają. Hełmy na umęczone głowy, ładownice z magazynkami na pas, amunicja do giwery, giwera przez plecy, od niechcenia wydane komendy, no i człapią w noc.

Chce mi się palić. Wychodzę przed wartownię. Nie bez przyjemności zaciągam się Sportem i obserwuję krótki, sześćoosobowy szereg postaci, miarowo, choć bez animuszu, oddalających się w kierunku pierwszego posterunku.

Prowadzi „rozpylacz” – podoficer rozprawdzający, kapral Wiesiek Strąk zwany przez nas Strączkiem. Jest świeżo po „szkółce”. Dopiero dwa tygodnie temu zameldował się w naszej jednostce. Trochę dziwny chłopak. Pod każdym względem. Podoficer bez choćby cienia autorytetu, którego na moje oko do końca służby nie wypracuje sobie wśród szeregowców, ale on najwyraźniej nad tym w ogóle nie boje, bo na swój pokręcony sposób, jest ambitny i uparty. Tak po chłopsku, bo to chłop z chłopaka. Dwie bele na pagonach zapewniają mu jakiś zakres formalnej władzy, a to, że wszyscy na kompani się z niego śmieją... Cóż go to obchodzi? We wsi, na przepustce może się pochwalić. Kto wie czy przypadkiem jakaś dziewczyna na to poleci? Tak sobie kombinuje.

Strączek ma osiemnaście lat. Do armii zgłosił się na ochotnika. Kurwa!!! Do syfu na ochotnika!!! Nikt z nim nie gada, co najwyżej spoglądają na niego ze zdystansowaną pogardą mijając zadziwionego i po dziewczęcemu czerwieniącego się kapralinę.

On naprawdę wygląda jak dzieciak. Twarz zupełnie pozbawiona zarostu, o wydatnych wargach, notorycznie układających się w "karpika", małym nosie zakończonym „kartofelkiem”, wielkich, okrągłych, wiecznie zszokowanych oczach, a to wszystko zwieńczone rudymi, jak się wydaje, loczkami. Co prawda po wojskowym strzyżeniu na głowie zostaje tylko tyle włosów, że można je przykryć dłonią, ale nawet po tych resztkach fryzury i tak u Strączka każdy widzi rude pukielki. Posturą przypomina trochę czternastolatka; szczupły tułów ze zbyt opadającymi ku dołowi barkami osadzony na grubych nogach, niemęsko krzywiących się do iksa.

Koledzy traktują go jak zepsute powietrze, ale mnie takie typy jak Strączek interesują, bo są inni... a może trochę mi go żal? Czy ja wiem?

Pomiędzy funflami z fali, ale i starymi mogę sobie na wiele pozwolić; no, bez przesady, ale... mogę.

Mam dwadzieścia cztery lata i przez ostatnie pięć skutecznie migąłem się przed wojskiem. Poza tym, co nie bez znaczenia dla tych chłopaków, działałem w Solidarności; mieszkam w związku z tym, od czasu do czasu, nieprzyjemne rozmowy z „politrukiem” jednostki majorem Zimnikiem.

Te irytujące i jak na mój gust, nazbyt częste pogadanki, są do siebie jota w jotę podobne. Najpierw uświadamia mi jak wiele wie na mój temat. Potem „strzela” jakieś niedorzeczne kazanie w duchu marksistowsko-leninowskim, jednak zawsze nacechowane bardzo wysokim stopniem temperatury emocjonalnej; wrzeszczy, klnie, wyraża wobec mnie pogardę, grozi, ale i czasami coś obiecuje. Dobry i zły milicjant w jednym.

Jakież to schematyczne, przecież esbecy, który przesłuchiwali mnie rok czy dwa lata wcześniej zachowywali się dokładnie tak samo.

Skądinąd cała wiedza jaką zastępca dowódcy jednostki do spraw politycznych major Zimnik na mój temat posiada pochodzi właśnie z akt esbeckich, więc te wszystkie jego dicta i pogróżki zbywam zazwyczaj lekceważącym milczeniem, co niezmiennie kończy się czułym pożegnaniem: „Won mi stąd, skurwielu ponury!!! Jeszcze mnie, kurwa popamiętasz!!!”.

I tak do następnego razu.

Zimnik nie robi z tych „seansów” żadnej tajemnicy. To jego strategia. Chytra strategia.

Boże, przecież to zwykły, głupi komuch, któremu wydaje się, że w ten sposób zdyskredytuje mnie wobec innych żołnierzy i odstraszy szeregowie wojsko przed niedorzecznymi mrzonkami o wolnościach politycznych.

To ci dopiero zaplecze intelektualne komuny. Dobre sobie. Nie ma co. Czyżby tylko na tym ten cały baradach się trzymał? Kurwa, naprawdę nie do wiary.

Ale jebał pies Zimnika. Tak czy inaczej jego sprytnie pomysły wychodzą raczej całkiem do bani, bo dla wielu, poprzez to, stałem się wręcz jakimś guru, co bywa czasami przydatne, ale potrafi być również cholernie kłopotliwe.

Przecież nie znam żadnej, dobrej odpowiedzi na zrozpaczone pytania typu: „Rzuciła mnie pizda jebana i

co ja mam teraz zrobić?”. Nie potrafię, a może nawet nie chcę im uświadamiać, że jestem tak samo bezradny wobec życia jak i oni, odpierdalałam więc śmiesznego psychoterapeutę... Coś tam gładzę, że czas uleczy rany, że tego kwiatu jest pół świata i takie tam inne pierdoły. Może trochę działa. Trochę... może. Szkoda, że samemu sobie nie potrafię nijak pomóc. Kurwa...

W każdym razie więcej mi wolno i nikt na to nie sarka, więc kilka dni temu, na fajce zagaduję Strączka;

- Słyszałam, że zgłosiłeś się do syfu na ochotnika?

- No i co z tego? – odpowiada trochę po koguciemu, ale już w tej samej chwili traci rezon, bo marszczę brwi. Chyba zaczyna rozumieć, że musi się wytłumaczyć; zna już układy na kompanii i wie, że jakby tam nie było, kogoś musi mieć po swojej stronie, więc trochę nerwowo zaczyna:

- No... co? Im szybciej tym lepiej. Za półtorej roku do cywila... pójdę do roboty, ożenię się... nic nadę mną nie będzie wisiało.

Trudno takiemu rozumowaniu odmówić logiki. Przecież każdy z nas przykre powinności chciałby mieć jak najszybciej za sobą.

Nagle coś głupiego strzela mi do łba.

- Masz dziewczynę? - zagaduję dalej. Pykam z lekka dymnymi torusami i mam pełną świadomość, że w tym pytaniu jest nutka zarówno sadyzmu jak i masochizmu.

Strączek czerwieni się po uszy.

- Nooo..., jest taka jedna

- I co? Pisz jeszcze do ciebie? Niby familiarne pytanie, ale jakie głupie w kontekście tego, co się nam, już niemal wszystkim, na co dzień przytrafia. Wstyd wywołany mimowolną chęcią pognębienia Strączka nadrabiam aroganckim wyrazem twarzy, ale gdzieś tam z tyłu głowy, jakby wbrew mnie samemu, rodzi się złośliwa myśl: Ciekawe kiedy się dowiesz, że już jesteś sam?

Strączek wyraźnie się peszy, ale sytuację ratuje gromkie wołanie Karola:

- Mirek!!! Zbiórka przed kompanią!!!

23 kwietnia 1984 roku. Wielkanocny poniedziałek. Data, której nigdy nie zapomnę.

Czwarta rano; najbardziej zaspana godzina w ciągu całej doby, a ja jestem rześki jak spirytus.

Nasza zmiana wychodzi na posterunki.

Strączek, który już ledwo na oczy widzi i właściwie usypia na stojąco chce na uparciaka być regulaminowy, ale Stefan, równie wykończony macha tylko ręką na procedury i zmęczonym głosem uspokaja:

- Kapral, wszystko gra.

W zmordowanym porozumieniu formujemy szyk. Jest mi między nimi dziwnie. Jakby kabłączki nieszczęścia wokół mnie i ja z tą wewnętrzną siłą, dla której nie potrafię znaleźć uzasadnienia.

- Bacność! Spocznij! W prawo zwrot! Za mną marsz! – Strączek stłumionym głosem wydaje komendy i porusza się tak jakby był ledwie działającą zabawką na prawie wyczerpanych bateriach. Cóż, czwarta rano... Noc jeszcze ciągle panuje, ale przedświt powoli już ją łamie.

Wąską, ale porządnie wydeptaną dróżką, z rzadka oświetloną kołysanymi lekkim wiatrem żarówkami w blaszanych kloszach, to przygasającymi, to rozświetlającymi się na nowo, kierujemy się w stronę czarnej jak sadza ściany lasu. Słyszę tylko ciężkie oddechy współtowarzyszy, czasami trzask patyka nadeptanego wojskowym butem, cichy poszum drzew i dalekie odgłosy już rozbudzonego ptactwa. Jest ciepło.

Pierwsza zmiana jest moja, druga na „kogucie” czyli na wieży wartowniczej Misia, potem Karola, Roberta, a na ostatnim posterunku Stefka.

Dobrze, że Robert podzielił się ze mną ćmikami, bo inaczej przez te dwie godziny chyba bym jajo zniósł. Dwieście metrów od telefonu w lewo, dwieście metrów od telefonu w prawo i „na abarot”. To samo widzisz, to samo słyszysz. Najnudniejsza mantra na świecie. Pieprzę takie mistyczne ćwiczenia. Palenie pomaga; zabija czas.

Zbliżamy się do umownego miejsca, w którym, mam przejąć służbę od poprzednika, ale... nikogo nie widać. Cholera, gdzie on jest? Teren płaski jak stół. Słabo, bo słabo oświetlony, ale ludzką sylwetkę zawsze by dojrzał. Rozglądamy się wokół i nic. Jesteśmy raczej zaskoczeni niż zaniepokojeni, więc głośno, właściwie mówię niż krzyczę:

- Janusz! Janusz! Gdzie jesteś? – Ale żadnego odzewu. Ani mru, mru.

Spoglądamy na siebie już nieco bardziej skonsternowani, wtem Karol konspiracyjnym tonem tropiciela zwraca naszą uwagę:

- Cicho! Coś słyszę.

Wszyscy wyłożymy słuch... i rzeczywiście dobiegają nas jakieś odgłosy.

Karol raptem pryga śmiechem.

- Ale piłuje!

No tak, to przecież chrapanie. Hm...

Strączek oburza się po swojemu, co w jego wypadku zawsze wygląda raczej niepoważnie.

- Kurwa, nogi z dupy mu powyrywam!

- No dobra, ale najpierw go znajdziemy – nieco lżejszą wymową dość oczywistej propozycji próbuję rozbawić „wkurwienie” niedowarzonego podoficera.

Po chwili Stefek stoi nad jedyną na całej długości posterunku transzeją, świeci na dół latarką i przyzywająco kiwa ręką w naszym kierunku. Podchodzimy i spoglądamy z zaciekawieniem. Naszym oczom ukazuje się taki oto widok: Janusz na dnie okopu w pozycji horyzontalnej, całkowicie przysypany zeszłorocznymi, suchymi liśćmi. Spod zbutwiałego listowia wyłania się jedynie twarz, a z na wpół otwartych ust wydobywa się charakterystyczny, miarowy, głośny dźwięk. Człowiek leżący w dole; obraz rodzący najgorsze skojarzenia, ale jednostajne: chrrr, chrrr, chrrr czyni go mocno komicznym.

Robert wskakuje do okopu, pochyla się nad głową zmorzonego snem Janka i niezbyt donośnie, ale prosto do ucha skanduje śpiochowi.

- Pobudka!!! Pobudka!!! Wstać!!! – pośród leśnego pustkowiecia słowa komendy, która normalnie budzi nas każdego ranka, równo o szóstej, w koszarach jednak, brzmią groteskowo.

Janusz raptownie i bardzo szeroko otwiera oczy. Przerazenie. Z pozycji leżącej na wznak, z okopu głębokiego na jakieś półtora metra, w ułamku sekundy, zupełnie bez użycia rąk wyskakuje na równe nogi. Wygląda jakby ducha zobaczył. Gwałtownie dyszy i nic nie rozumie. Zaskoczeni nieoczekiwaną nagłośnością

jego reakcji przez chwilę wszyscy czujemy się jak stado baranów. Chyba nikt z nas, nigdy nie był świadkiem takiego wyczynu „sportowego”. No, no... I nagle zaskakujemy. I erupcja wesołości.

Pierwszy, krztusząc się śmiechem zaczyna Strączek.

- Szeregowy Napiórkowski... - ale krztusi się i nic więcej wyrzec nie może. Wszyscy rechoczą, tylko Janusz, który jeszcze do końca nie ochłonął bełkocze niezrozumiale jakieś, chyba usprawiedliwienia.

Jeden Misiu dobrze się nie bawi. Stoi z boku i patrzy na tę błazenadę niewidzącym wzrokiem. Cóż, jego sprawa. Nie on jest bohaterem chwili.

- Napiórkowski, ale daliście dupy – w końcu, ciągle jeszcze z lekka prychając, wyraża swoją opinie o zachowaniu podkomendnego Strączek.

- Kapral, no zmogło mnie. Kapral... kapral chyba nie zamelduje o tym dowódcy warty? Co? – Wręcz błaga, niebaczny i słusznie przestraszony wartownik.

Strączek tylko przez chwilę, wszelako zdecydowanie umyślnie zwleka z odpowiedzią. Tak, tak. Widzimy jak młodziak, co prawda jeszcze niepewny swego, jednak powoli zaczyna smakować danej mu władzy.

- Zbieraj broń, przekazuj posterunek i zapierdalamy, bo zaraz zaczną nas szukać.

- Ale kapral... - mamrocze Janusz.

- Kurwa mać!!! Zbieraj się i do szeregu!!! – zdesperowany „rozpylacz” olewa regulamin.

Słyszę tylko: „Za mną marsz” i koledzy giną w szarzejącym mroku, a ja zaczynam wędrówkę donikąd po ściśle wyznaczonej trasie. Już kiedyś próbowałem, to łażenie w kółko uznać za spacer, ale kto przy zdrowych zmysłach szwenda się po nocy, wydeptując ścieżki, ależ oczywiście jak na spacerniaku. Regularny idiotyzm stosowany.

No i zaczyna się strach przed natręctwem myśli. Nie da się nie myśleć o Marzence. Ale na litość boską już nie ma o kim myśleć. No bo nie ma!!!

„I don't love you, you don't love me”; nie, nie, na odwrót “You don't love me, i don't love you”; tak jest właściwie.

Ciekawe. No ciekawe; spodziewany zamęt, cikliwość czy melancholia jakoś nie nadchodzą. Jest inaczej.

Zmysły mam wyostrzone jak brzytwa i całkowicie nad sobą panuję. Nadzwyczajne uczucie. Wierzę. Stał się cud unicestwienia udręki. Jak? Dlaczego? Nie wiem. Czuję tylko tyle, że wypełnia mnie przenikliwy spokój.

Z tej lekkości bycia jestem tak mocny, że całego papierosa ciągnę na zaledwie trzy machy. Już dnieje. Wtem... Trach!!! Wystrzał. Panika wśród ptactwa.

Co jest do chuja wafla!!!!

Jeżą mi się resztki włosów pod hełmem – to przecież z wieży.

Kurwa!!! Misiu... kurwa!!!

Przez ułamek sekundy zastanawiam się czy dzwonić na wartownię... Kurwa, jebał pies przepisy.

Co sił w nogach biegnę w stronę „koguta” Trzysta metrów. Schody przeskakuję po pięć stopni. Jestem.

Niby jakoś rejestruję obraz, ale nie mogę uwierzyć własnym oczom. To nie może być prawdą. Nie może...

Adam siedzi na podłodze w kącie wieży. Wyraźnie rozróżniam tylko dolną połowę ciała. Cała góra jest zalana czerwono – różową mazią. Z przerażeniem zaczynam dostrzegać szczegóły. Przestrzelony hełm tkwi na głowie, która, no... się rozplynęła, spłaszczyła i to jakoś... krzywo tak. To nie jest przecież głowa Misia. Lufa kałacha wbita w krwawą dziurę, która jeszcze niedawno była jego ustami. Kolba oparta o deski platformy pomiędzy wąsko rozrzuconymi nogami. Z przechylnego trochę na prawo ciała krew ciągle ścieka. Koszmarna ciemna kałuża niezakrzepłymi ciężkimi kroplami, po krzywiźnie podestu skapuje na świeżą trawę, która sześć metrów niżej wyrasta z budzącej się do życia ziemi.

Adam!!! Adam!!! Jak cię poskładać?!!! Boże!!! Jak go poskładać?!!!

Żołądek mam pod gardłem. Przechyliam się przez barierę i spazmach wyrzucam z siebie zawartość trzewi.

Zaczynam się cofać. Powoli, tyłem schodzę stopień po stopniu.

Tydzień po tragedii.

WSW, prokurator, „politruk”, przesłuchania. Wszyscy w drużynie i na kompani jesteśmy przybici. Milczymy. Mijamy się nie patrząc sobie w oczy. Owszem jestem wytracony z orbity, ale jakoś tak i jestem i nie jestem, bo potrafię myśleć zimno i wiem, że gdyby nie jakaś tam chutliwa Hanka Misiu byłby dzisiaj pośród nas, cały i zdrowy. Z drugiej strony jednak, cóż począć przeciw rozwydrzonej ludzkiej naturze? To tak jakby się gniewać, czy ja wiem?; na sztor. Niby można, lecz jaki to ma sens.

Niemen ma rację; „Dziwny jest ten świat”.

Jaka szkoda Adamie, że nie doznałeś łaski unicestwienia udręki na czas. Wielu nie doznaje. Żal.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Mirosław Sliwa, dodano 29.02.2016 20:36

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.